

ŻYCIĘ

ROK XI — NR 34 (531)

NIEDZIELA. 25 SIERPNI 1957 R.

CENA 1/6



Po wielogodzinnym morderczym błądzeniu w ciemnościach warszawskich kanałów powstaniec zdołał wreszcie wydostać się na zewnątrz, lecz tu stał właśnie patrol niemiecki...

wymi środkami lokomocji. Dnia 1 sierpnia w godzinach popołudniowych już kilka tysięcy osób w Warszawie zajętych jest przekazywaniem rozkazów o godzinie „W”, przenoszeniem broni i amunicji. Podniecenie widoczne na ulicach nadaje miastu wygląd jak gdyby odmlodzony. We wczesnych godzinach popołudniowych zaczęto zamykać niektóre sklepy. Tu i tam padają krótkie strzały.

Akcja powstańcza zaczęła się na Żoliborzu przedwcześnie już około godziny 15, w pobl-

1 miejsca postoju Komendy Głównej AK przy ul. Dzielnej przed godziną 16, w okolicy pi. Dąbrowskiego, Świętokrzyskiej i Jasnej około godziny 16.

Dowódca wojskowy garnizonu niemieckiego miasta Warszawy gen. lotnictwa Reiner Stahel zarządził około godz. 16.30 alarm garnizonu. Niemcom nie udało się już jednak zapobiec wybuchowi powstania. O godz. 17 zaatakowani zostali przez powstańców w całym mieście.

70 DNI WARSZAWY

Powiedzmy od razu, że książka jest o wiele lepsza niż jej tytuł. Ów „Wicher wolności”, niosący być może dalekie echo „Wesela” Wyspiańskiego („...żeby tylko wicher wiał”), a może tylko będący dla autora słownym symbolem powstania w Warszawie, tak jak „Burza” miała być symbolem powstania w całej Polsce — szumi nam dziś w uszach patosem, którego właśnie w „Dzienniku powstańca” nie ma. Tytuł zapowiedzianego wydania angielskiego: „Seventy Days” jest na pewno bardziej trafny i mocniejszy.

Mocna to bowiem książka; jedna z tych, co to biorą w niewolę naszą wyobraźnię i pozostawiają ślad w naszej myśli. Rację ma też autor przedmowy, Gustaw Herling-Grudziński, gdy nazywa pamiętnik Zagórskiego najlepszą — obok wydanego w Kraju „Przemarszu przez piekło” — książką o powstaniu warszawskim.

Mniej chętnie zgadzamy się z nim, gdy zachęca nas niejako, by czytać go w sposób wolny od rozważań i szukania odpowiedzi na pytanie: „Czy powstanie to było błędem”. Książka bowiem, choć urzeka nas swą batalistyczną treścią, prowokuje właśnie do myślenia na ten i na inne tematy, od których nie stronią zresztą w chwilach wytchnienia sami jej bohaterowie.

Rzecz jasna, że próba historycznej oceny powstania, lub tylko — pamiętając o względności spraw ludzkich w czasie i przestrzeni — celowości jego wybuchu w tym momencie i w tym miejscu, wykraczałaby poza ramy tej recenzji. Zarotujmy więc tylko, że może czas byłby ustalić z całą pewnością i bez niedomówień odpowiedzialność za tę decyzję, która przemieniła się wkrótce w jedną z największych narodowych tragedii. Próby takiego ustalenia zataczają się bowiem od kilkunastu już lat pomiędzy czymś w stylu odpowiedzialności „wobec Boga i historii”, a powoływaniem się na niecierpliwosć podchorążych, „którzy i tak zaczęliby strzelać”.

Myśli te narzuca nam zresztą już sam początek książki Zagórskiego, który doskonale oddaje moment zaskoczenia wybuchem tak wielu ludzi czynnych w pracach Polski Podziemnej, a następnie przypadkowe niejako, nieprzewidziane żadnym planem, formowanie się powstańczego oddziału dokoła załogi konspiracyjnej drukarni na ulicy Grzybowskiej.

Dalsze z tych 350 stron to istotnie „kalendarz” a zarazem trochę „rachunek sumienia” dowódcy jednego z najbardziej typowych warszawskich ochotniczych oddziałów, których historia zamyka się między

Wacław Zagórski: **WICHER WOLNOŚCI** — dziennik powstańca. Stron 391; liczne ilustracje, indeksy nazwisk, 2 plany. Londyn 1957. Nakładem subskrybentów.

datami 1 sierpnia a 5 października 1944. I tu znowu rację ma Herling-Grudziński, gdy dostrzega coś conradowskiego w tej relacji, której szkielec to jakby dziennik pokładowy walczącego do ostatka okrętu.

Odcinek, na którym porucznik, a później kapitan Zagórski dowodzi, to jeden z tych warszawskich „twardych frontów”, obejmujący teren pomiędzy pocztą dworcową, a ulicami Towarową, Grzybowską i Królewską, i który aż do momentu ogólnej kapitulacji bronić będzie śródmieścia przed atakami Niemców z północy i północnego zachodu.

Ale zarazem to ów tak bardzo warszawski „Grzybów”, sąsiedztwo Hal Mirowskich, placu Żelaznej Bramy i widmowych ruin małego getta. Od nazwy dzielnicy weźmie też Zagórski swój powstańczy pseudonim „Lech Grzybowski”, o ileż więcej mówiący niż owe „Zbiki”, „Sokoły”, „Miecze” oraz inne zwierzęta i przedmioty z bojowego repertuaru mirionej epoki.

Większość żołnierzy grzybowskiego batalionu, to prawdziwe dzieci Warszawy, rzemieślnicy, sklepikarze, trochę studentów tajnych kursów, ulicznicy — ludzie znani w swej dzielnicy i darzeni jej przyjaźnią. Nic też dziwnego, że duch oddziału jest wyraźnie PPS-owski, jak PPS-owska — w najlepszym znaczeniu tego określenia — była warszawska polska ulica. I ta socjalistyczna, nie przysianiana wstydliwie twarz obrońców Grzybowa jest naprawdę sympatyczna (słowa te pisze przeciwnik doktrynalny i polityczny socjalizmu). Tyle nasłuchaliśmy się i naczytaliśmy urzędowych certyfikatów „apolityczności” żołnierzy AK, których myśl o sprawach publicznych nigdy rzekomo nie wykraczała poza „niepodległość” i wiarę w słowa wodzów, że niemal wdzięczni jesteśmy Wacławowi Zagórskiemu, że nie stara się odbarwić oblicza ideowego własnego i swych przyjaciół. Dziwi nas tylko, że osoby reprezentujące warcholstwo, niekompetencję lub śmiešność zjawiają się u niego prawie zawsze z prawej strony.

Jest niewątpliwie coś, co nie tylko czyni tę lekturę trudną do przetrwania, gdy się ją zaczęło, ale wytwarza jakąś ogólną atmosferę zaufania, o którą tak trudno u czytelnika, który sam przeżył zburzenie Warszawy. Myślę, że jest to zgodność wywołanej po trzynastu latach wizji z tamtym, pierwotnym przeżyciem. Przy czytaniu większości dotychczasowych opracowań oficjalnych i „odgórnych” wspomnień płątała się zwyczaj na pół podświadoma myśl, że wprawdzie to wszystko prawda, ale że to było zupełnie inaczej. Otóż przewracając kartki „dziennika powstańca” czynimy to z wewnętrzny przeświadczeniem, że to było właśnie tak.

Naprzeciw wychodzi nam obraz palącego się miasta; ogarnia nas gorąco owych 70

dni, spędzonych oko w oko ze śmiertelnym wrogiem. Obraz jest bez szminki; zeznanie — bardzo bliskie owej „prawdy, całej prawdy i tylko prawdy”, którą świadek przysięga mówić przed sądem. Świadek Zagórski nie stara się przemilczać, lub „pedagogicznie” zaśłaniać faktów nierzadko okropnych, mówiących o załamaniach, upadkach, o tragicznym wykołajeniu tej młodzieży AK wyrosłej wszak z klęski roku 1939, a przeciwieństw będącej tej klęski zaprzeczeniem.

Zycie walczącego rozpaczliwie batalionu, a zarazem życie kruszonej bombami i pociskami moździerz i kolejowych dział dzielnicy pokazywane jest ze wszystkich stron, bez pomijania niczego ani nikogo. Jak orderowa wstęga przewija się przez cały pamiętnik wątek poświęcony kobietom. Przebiegają nie mające czasu na strach sanitariuszki, by wyciągnąć rannych spod największego ognia, same zabijane tak często przez odłamki i kule niemieckich strzelców wyborowych; wśród wybuchów i pożarów przygotowują i roznoszą pożywienie w tym głodzonym mieście, nigdy nie zmęczone „pżetki”; łączniczki doczołgujące się do wysuniętych, odciętych często placówek; „cywilne” kobiety odkopują zasypanych i grzebią poległych.

Szlachetnym piórem narysowana jest postać kapelana tej lewicującej załogi, księdza „Oracza”, przyjaciela i cichego opiekuna, który niestety osierocił oddział, placąc śmiercią za próbę dotarcia do konającej kobiety.

Rzecz oczywista, że z tego pisanego w pierwszej osobie dziennika wylania się wyraźna sylwetka autora-dowódcy. Gdyby nawet nie poinformował nas o tym na początku, nie mielibyśmy wątpliwości, że nie jest to jeden z tych oficerów, co „znaleźli się” dopiero w chwili wybuchu powstania. Znać na nim staż paroletniej walki podziemnej z okupantem, którą często niesłusznie identyfikuje się z rozpętanym żywiołem powstania. Doskonale pokazana jest wielostronność i odpowiedzialność obdarzonego przez podwładnych zaufaniem dowódcy. Gdzieś na niedalekich zresztą i wcale nie bezpiecznych „tyłach” urzędują ludzie wypisujący instrukcje i formularze, gdzieś kręcą się nieuniknieni „ważniacy” i „fasoniarze”. Tu na pierwszej linii — z Niemcami nieraz o kilkanaście metrów — dowódca nie tylko rozkazuje; musi być i sędzią i doradcą i wychowawcą. Cofać się lub uchylać od którejś z tych kłopotliwych często ról — byłoby niewiernością w stosunku do tych wiernych chłopców i dziewcząt, którzy zasłużyli sobie na dowódców lepszych niż niejednokrotnie mieli. I kapitan Lech Grzybowski to rozumie.

Słowo autora „Dziennika” jest oszczędne, trafne. Tak właśnie, oszczędzając amunicję, celnie strzelało się w Warszawie. Opisanie uderzenia plutonów szturmowych w nocy z 31 sierpnia na 1 września, w kierunku na plac Mirowski, Elektrownię i Żelazną Bramę, w celu umożliwienia przebiecia się masakrowanym na Starym Mieście oddziałom należy do najlepszych kart literatury poświęconej ostatniej wojnie.

Książka wydana jest bardzo starannie, choć skromnymi środkami. Techniczny jej układ — przejrzysty i bardzo pomysłowy. Liczne i doskonale dobrane ilustracje fotograficzne, oraz „ilustracje słowne”, wśród których wstrząsające w swej zwięzłości są zapiski w kalendarzyku siostry „Marii mal-tanki”.

Wśród kilku tekstów poetyckich odnajdujemy piękny konspiracyjny wiersz Krystyny Przygodzkiej zaczynający się inwokacją:



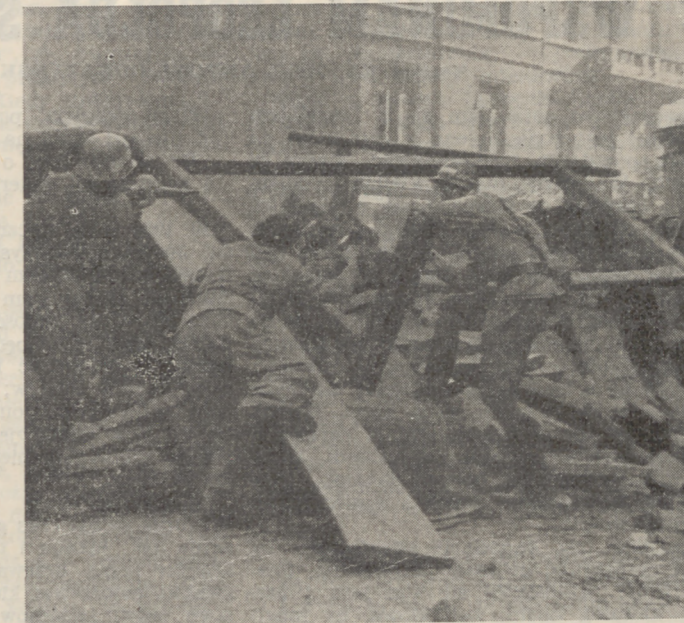
Święta Barbaro, górników Patronko, Zejdz w niewoli podziemie czarne I szaty swojej koronką Osłoń tajną drukarnię.

Mogę tu uzupełnić informacje, jakie o tych strofach udzieli autorowi p. Andrzej Pomian: dedykowane warszawskim podziemnym drukarzom i włączone do antologii „Słowo prawdziwe”, drukowane one były w tajnych „Zakładach Drukarskich Dr. Apaki” czyli po prostu w drukarni konspiracyjnej „Walki”, o czym informator zapewne wiedział.

Ta wydawnicza dygresja podsuwa mi myśl, że może należałoby namówić autora „Dziennika powstańca”, by starał się odtworzyć również swój pamiętnik konspiracyjnego dziennikarza i kierownika podziemnej (dosłownie) drukarni. Zdając sobie sprawę z trudności takiego przedsięwzięcia (nikt z nas nie śmiał w tych czasach robić notatek, a już zwłaszcza zapisywać nazwisk czy dat) jestem przekonany, że warto byłoby ten nowy trud podjąć.

Bo książki tego rodzaju — nie mówiąc już o ich wartości dokumentarnej — zastępują legendę prawdą przyczyniając się na pewno do wyjaśnienia wielu spraw i wielu nieporozumień płaczących się dokoła tych „odpisanych na straty” roczników Polski Podziemnej i Armii Krajowej

Maciej Cybulski



LUDZIE I ZDARZENIA

Zamek Basryca, dawna letnia rezydencja królów Bułgarii, obecnie zamieniona na dom wakacyjny dla literatów, był niedawno teatrem ponurego figla, jaki paru młodszych pisarzy bułgarskich urządziło swym starszym i lojalniejszym wobec reżymu komunistycznego kolegom. Wszystko zaczęło się od burzliwej dyskusji polityczno-literackiej, która — jak co wieczór niemal — toczyła się pomiędzy zwolennikami literatury niezaangażowanej, którym przewodził jeden z poetów bułgarskiego ruchu oporu z ostatniej wojny, a obrońcami pozostałej z czasów „słoneczka” linii socrealizmu literackiego. Nagle, z odbiornika radiowego rozległy się odgłosy strzelaniny i jakieś gromkie okrzyki. Gdy przerażeni ludzie pióra zerwali się z miejsc, nieznany głos speakera obwieścił z entuzjazmem: „W Sofii wybuchło powstanie antykomunistyczne, przywódcy reżymu są aresztowani; lada godziny spodziewany jest powrót króla Symeona”. Poczem rozległy się dźwięki dawnego hymnu „Szumi Marica”. Refleks bułgarskich pisarzy był natychmiastowy: jeden przed drugim — ze znanym stalinowcem, Wasilewem na czele — zaczęli odrzekać się od ideologii komunistycznej i jakichkolwiek związków z reżymem; stara poetka Dorka Sordanowa w jed-

nej chwili przypomniała sobie, że w tym samym zamku przyjmowana była przez swą przyjaciółkę... królowę. Patriotyczny ten nastrój popsuł dopiero sprawca całego zamieszania, (ów bułgarski poeta „Akowiec”) przyznając się, że to on włączył do odbiornika radiowego dyktafon z nagraniem na taśmę kontrrewolucyjną audycją. Sprawa odbyła się — jak dotąd — bez ofiar. Tylko bułgarski minister oświaty o symbolicznie brzmiącym nazwisku: Wyłko Czerwenkow kazał opisać to zdarzenie w oficjalnej „Narodnej Kulturze” — ku przestrodze słabnącym w rewolucyjnym zapale intelektualistom.

★

„Kurtyna radarowa”, czyli sieć stacji mogących na daleką odległość wykrywać samoloty nadciągające na kontynent amerykański z kierunku północnego, jest już — jak się zdaje — dziełem dokonanym. Rozciąga się ona na przestrzeni z górą 3 tysiące mil wzdłuż mniej więcej arktycznego kręgu polarne go przez tereny Alaski i północnej Kanady. Urządzenia radarowe o nieznanym dotąd zasięgu wykonane zostały przez Western Electric Company na zamówienie lotnictwa Stanów Zjednoczonych, które też zapewnia ich obsługę. Zdjęcie nasze przedstawia jedną z pierwszych ukończonych baz radaro-



wych, zainstalowaną na górzystym pustkowiu kanadyjskim.

★

Leslie Caron, świetna francuska tancerka i gwiazda filmu będzie grała tytułową rolę w nowej muzycznej wersji „Gigi” według znanej powieści Colette. Zdjęcia, które zamieszczamy, dokonano w podparyskim Lasku Bułońskim, gdzie Leslie oraz jej główny partner — wiecznie młody Maurice Chevalier — korzystają z kilku chwil przerwy w nakręcaniu pierwszych scen. Odpoczywa też 4-miesięczny synek artystki, Christopher, który również „wystąpi w tym filmie.

★

Robert Frost, sławny poeta amerykański, zaszczycony został niedawno, w 83 roku życia, dwoma jednocześnie doktoratami „honoris causa” uniwersytetów Cambridge i Oksford. „Nareszcie mam jakiś budzący szacunek zawód — powiedział do licznie zebranych czytelników i studentów. — Przez całe życie byłem w kłopotcie, gdy trzeba było wypełnić formularz paszportowy lub fiszkę w hotelu. Kiedy wpisywałem w odpowiednią rubrykę słowo „poeta”, urzędnicy patrzyli na mnie z politowaniem lub wręcz żądali podania mego prawdziwego zajęcia. Wpisywałem więc „farmer”, „nauczyciel” a później „emeryt”. Teraz będę mógł spokojnie określać się jako „doktor”.

